ROZMAITOŚCI.

Dnia 6. Sierpnia. № 32. Roku 1856.

OSTATNI ŚRODEK.

(Ciąg dalszy.)

Pan Falk słuchał opowiadania hrabiny z wytężoną uwagą, nie przerywając jej ani słowem. Gdy skończyła, zamyślił się długo, i zapytał w końcu:

„Ileż tedy lat ma syn pani w tej chwili?“

„Dwadzieścia dwa i kilka miesięcy“ — odrzekła hrabina.

„W ostatnich zaś latach nie spostrzegłaś pani u niego żadnych śladów owej choroby, której uległ mąż pani?“

„Żadnych. Od dzieciństwa okazywał Artur najczerstwiejsze siły i zdrowie. Właśnie ostatniemi czasy miałam tego jawne dowody. I tak na przykład podczas najnowszej wycieczki w góry wydrapywał się z rzadką zręcznością na najwyższe wierzchołki. Stanąwszy na szczycie zapominał ponure swoje myśli, i patrzył dumnem okiem dokoła. Dopiero spojrzawszy na mnie zmieniał wyraz twarzy, i gorzkim uśmiechem odpowiadał na łzę radości w mojem oku. I kiedykolwiek zabłyśnie jaka nadzieja w sercu mojem, gasi ją natychmiast jedno słówko, jedno spojrzenie, w którem przebija się znowu cały ów ponury, złowrogi wyraz przeczucia czy uprzedzenia.“

„Nieszczęśliwa matka!“ — mruknął mimowolnie wzruszony lekarz.

„O tak!“ — zawołała hrabina rozdzierającym głosem — „nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza z matek. Wszystko co dla innych bywa szczęściem i rozkoszą, jest dla mnie źródłem cierpień i smutku. Każde spojrzenie na jedynego syna, musi u mnie dopełniać tylko miary srogich męczarni. A do tego nie masz ani jednej kryjówki w sercu Artura, którejbym ja nie znała, nie masz ani jednej myśli w mojej duszy, którejby on nie odgadł. I taż wzajemna znajomość naszych wspólnych cierpień dobija nas do reszty. Na próżno pragniemy oszukać się obopólnie. On udaje często młodzieńczą wesołość i swobodę, ja spokojność i zadowolenie; lecz nim jeszcze ułudny uśmiech zatrze się na naszych ustach, już zaświeci łza w oczach.....“

Głośne łkanie przerwało dalszą mowę. Umilkła, zakrywając chustką zalane łzami lica.

Lekarz stłumił tymczasem swoje głębokie wzruszenie, i zapytał hrabinę, gdy się cokolwiek uspokoiła:

„Czy pani hrabina karmiła sama swojego syna?“

„A rozumie się“ — odpowiedziała z wyrazem szlachetnej dumy macierzyńskiej.

Lekarz zamyślił się na chwilę.

„Nie chciałbym panią upewniać nadto stanowczo,“ — zaczął nakoniec — „aby poźniej tem boleśniejszego nie sprawić rozczarowania; jednakże o ile zaufać można umiejętności najmniej dotąd zbadanej i wyjaśnionej mogę panią zapewnić śmiało, że syn jej nie jest i nie będzie nigdy suchotnikiem.“

„A więc nie omyliły mnie moje nadzieje!“ — zawołała hrabina z nieopisanym wyrazem szczęścia i nadziei. — „Więc syn mój przeżyje rok dwudziesty czwarty, i powróci do zdrowia i wesołości?“

„Przedwszystkiem nie tryumfujmy zawcześnie pani hrabino!“ — przerwał lekarz, miarkując uniesienie matki, i przybierając całą flegmę i powagę swojego stanu. — „Wszystkie oznaki są wcale zaspakajające. To coś mi pani hrabina dopiero opowiedzieć raczyła, jako też co wczoraj przy moim przyjeździe sam uważałem, utwierdza wielce moje nadzieje. Pani odebrałaś z natury silną budowę ciała i czerstwe zdrowie, a Pan Bóg jako miłosierny opiekun sierot, przelał je także na syna pani. Choroby spadkowe są niestety częste i nazbyt częste. Nie rzadko przecież zdarzają się wypadki, iż familia od kilku pokoleń na jedną i tęższamą słabość cierpiąca zdrowieje zupełnie za zmieszaniem się z nową krwią niezepsutą. Pani to wpłynęłaś tak pomyślnie na rodzinę Drużewskich, i oswobodziłaś ją na zawsze od okropnej choroby familijnej. Lecz niełudzić się nam fałszywą nadzieją. Synowi pani grozi z innej strony niemniej srogie niebezpieczeństwo. Umysł stale jedną i tąsamą myślą zaprzątniony, jedną i

tąsamą obawą nękany, może w końcu uledz zupełnie nieszczęsnym wpływom. Syn pani może z czasem postradać rozum, wpaść w inną ciężką chorobę i.....“

„Ach litości! litości!“ — jęknęła hrabina głosem któryby kamień był zmiękczył.— „Obłąkanie i śmierć po długich męczarniach! to więc ma czekać mojego syna!“

„Jest to dopiero niebezpieczeństwem przyszłości pani hrabino, któremu jednakże nie tracąc czasu potrzeba zaradzać i zabiegać“— odparł lekarz, zatrzymując na pozór ton zimny i spokojny. — „Przedwszystkiem musi nam iść o to, aby młody hrabia przeżył rok dwudziesty czwarty, nie uległszy do tego stopnia szkodliwym wpływom swojego urojenia, iżby się poźniej nie dały uchylić w żaden sposób. Gdy minie już ów okres czasu, który go tak okrutną nabawiał trwogą, wtedy przekona się rychło, jak błahem i bezzasadnem było jego urojenie. Każdy z dalszych miesięcy życia przyniesie mu coraz więcej ubezpieczenia i spokoju, a to jedynie może go uzdrowić. Czoło jego zacznie się powoli rozjaśniać, oko nabierze weselszego wyrazu, usta odświeżą się uśmiechem, a pierwszego lepszego poranku ocknie się ze snu całkiem uzdrowiony na sile i duszy.“

„Lecz jakimże sposobem osiągnąć ten pomyślny skutek?“ — zapytała hrabina ze złożonemi rękoma i z błagającem wejrzeniem, jakgdyby mówiła do nadziemskiej jakiej istoty.

„Ach pani hrabino!“ — odparł lekarz — „gdybym był szarlatanem, wystąpiłbym tu bez namysłu z jakiemi dziesięcią najniezawodniejszemi środkami, lecz ja jestem tylko *lekarzem*, co mimo złośliwość wielu języków nie jest zawsze jedno i tosamo. Ztądteż nie mogę nic więcej uczynić jak tylko powtórzyć radę moich poprzedników. Potrzeba koniecznie rozrywać umysł Artura, bądźto podsuwając mu pracę, któraby go zajęła, bądźto wzniecając w nim pewne nowe zamiłowania, bądź rozbudzając uczucia, któreby go na dłuższy czas zaprzątnęły. Słowem potrzeba koniecznie zająć go czemś w ten sposób, aby ów ośmnastomiesięczny przeciąg czasu przed osiągnieniem dwudziestego czwartego roku przeminął nieszkodliwie.“

„Wszakże mówiłam ci doktorze, że próbowałam wszystkich środków do tego celu;“ — zawołała hrabina z załamanemi rękoma — „Artur lubił podróżować, zwiedził więc w zeszłym roku Włochy, Szwajcaryę, Francyę i Hiszpanię. Na próżno atoli siliłam się rozerwać tam chorą imaginacyę. Choć go czasem zajął widok prześliczny, mijało to tak prędko, że pod tym względem nie można było najmniejszej robić sobie nadziei. Owszem po każdem przelotnem wrażeniu następowały zaraz chwile zniechęcenia, nerwowej jakiejś niecierpliwości i ponurego rozdrażnienia, jakgdyby nieszczęśliwy młodzieniec gniewał się na świat i naturę, że oboje tak piękne a on tak chory.

„A umiejętności? sztuki? rozrywki wielkiego świata?“ — zapytał lekarz.

„Ach, i w tym względzie tesame były zabiegi i tesame zawody“ — odparła smutnie pani Drużewska. — „Zdawało się czasami, że wśród hucznej zabawy zapominał o swojem urojeniu, i ulegając wpływowi otaczającej go atmosfery okazywał się wesołym, mownym, ochoczym. Lecz w kilka chwil poźniej nie było go już w gronie towarzystwa. Znajdywałam go w najodleglejszym zakącie sali. Siedział samotnie, ponury i zniecierpliwiony, z gorzkim uśmiechem na ustach i obłąkanym prawie wyrazem oczu. Za mojem zbliżeniem zrywał się gwałtownie z miejsca, i szeptał stłumionym głosem: „Duszę się, uchodźmy ztąd!“..... Zamiłowany dawniej gorąco w naukach, unika ich teraz z obrzydzeniem. „Nie mam już czasu nauczyć się czego potrzeba, wolę zatem niczego się już nie uczyć“ — odpowiada jednostajnie na każdą zachętę moją. Starałam się potem wzniecić w nim gust do muzyki. Lecz i to na próżno. Owszem muzyka zdawała się podsycać jego chorobliwe usposobienie, pomnażać jego smutek. Oderwałam go więc od niej coprędzej, a chciałam natomiast wzbudzić w nim chęć do poezyi. Lecz sądziszże doktorze, iż pomyślniejszy odniosłam skutek? Przewertowawszy w krótkim czasie wszystkie celniejsze utwory literatury, rozczytywał się następnie tylko w takich książkach i zwrotkach, które odpowiadały nieszczęsnemu jego usposobieniu, które w płynne i dźwięczne słowa, ubierały te myśli i uczucia, jakie trapiły go ustawicznie.

„W ciągu zaś tego czasu nie zaznał syn pani żadnego silniejszego uczucia jak na przykład przyjaźni lub miłości?....“

„O nie, nie!“ — odpowiedziała żywo pani Drużewska — „nie miał do tego niestety ani okazyi ani przedmiotu.“

Właśnie gdy słów tych domawiała, rozwarły się z lekka drzwi, a w progu ukazała się nieśmiała postać Maryi. Mniemając, że dawno już skończyła się konsultacya, przybyła ona powiedzieć pani hrabinie „Dzień dobry!“ Okryta lekkim rumieńcem wydawała się Marya

w tej chwili tak piękną i zajmującą, że dziwna jakaś myśl uderzyła w jednym i tym samym czasie lekarza i hrabinę. I lubo byłto pomysł niezmiernie dorywczy, mglisty, przelotny, zadrzeli przecież oboje, acz zadrzeli wcale różnem uczuciem, hrabina z nadziei, lekarz z obawy.

Czyż nagły widok nadobnej Maryi jaśniejącej całym blaskiem piekności i młodości, przybywającej jakby w odpowiedź na ostatnie słowa hrabiny, tknał ją promieniem nadziei, że Artur znajdzie wreście sposobność do owego silniejszego uczucia i zajęcia, które jedynie mogło uzdrowić go i do życia powrócić.

A przenikliwy lekarz miałżeby już wtedy odgadnać egoistyczne znaczenie tej nagłej nadziei nieszczęśliwej matki, miałżeby już wtedy przewidzieć, że to co mogło ocalić Artura, mogło zarazem zgubić jego córkę.

Trudna na to odpowiedź. Nie naprowadzała też na nią żadna okoliczność w codziennem pożyciu mieszkańców dworu, żadna zmiana w ich stosunku do siebie. Pani Drużewska była wprawdzie bardzo uprzejmą dla pięknej Maryi, ale coż w tem dziwnego? Możnaż było oprzeć się czarodziejskiemu urokowi, jaki młoda ta dziewica wywierała na wszystkich otaczających? Mogłaż mu się oprzeć szczególniej hrabina, która była tak dobra i łaskawa dla wszystkich. Jakże inaczej miała obchodzić się z dziewicą, której piękność i przyjaźń zdawały się wróżyć każdemu szczeście i spokój, a której ojciec pracował nad uzdrowieniem nieszczęśliwego Artura.

Marya okazywała szczególny szacunek i przywiązanie hrabinie, a możnaż się było czego innego spodziewać po tem wdziecznem i szlachetnem sercu? Marya nie taiła także głębokiego współczucia dla Artura: lecz któryż nieszcześliwy widział ją kiedy obojętna na swoje cierpienia? czyjaż niedola znalazła ją zimną i nieczułą? Młoda dziewica poznała zaraz w pierwszych dniach swojego pobytu w boryńskim dworze, że życie Artura jest srodze zagrożonem, że dnie jego wloką się leniwie w ciężkim smutku, wśród ponurych i dręczących rozmyślań, uczuła więc ku niemu mimowolnie ów dziwny pociąg, owa rzewną sympatyę, jaką wszystkie wybrane natury kobiece czują zawsze ku cierpiącym i nieszczęśliwym. Artur jednakże nie zdawał się wcale odwzajemniać szlachetne to współczucie. Owszem okazywał w całem swojem zachowaniu lodowatą oziębłość ku młodej dziewczynie, która tak żywo ulitowała sie nad smutnem jego położeniem. Nie uszła ta dziwna obojętność przenikliwego oka lekarza, a prawdę mówiąc ucieszył się nią nien ało. Zawsze bowiem rodziła się w ojcowskiem jego sercu jakaś nieświadoma, mimowolna obawa, z której zrobione świeżo spostrzeżenie zupełnie go uleczyło. Zostawiał teraz spokojny córkę swoją w towarzystwie hrabiny, a sam podejmował codziennie długie wycieczki w okolice, szukając roślin, i odwiedzając chorych, których sam w pobliskich wioskach odpytywał i uzdrawiał. Tak więc znajdowała się Marya prawie zawsze u boku hrabiny. A dziwne jakieś uczucie rodziło się natenczas w zbolałem sercu pani Drużewskiej.

Widząc tak często Maryę i Artura obok siebie, oswajała się hrabina coraz więcej z jakąś tajemną myślą, z jakąś ciemną nadzieją, którejby sama przed sobą wyjawić może nie śmiała. Ilekroć spojrzała w piękną twarz Maryi, rozjaśniało się zwolna jej oko, pewna błoga otucha wstępowała w jej serce, i zdawało się wtedy, że jakiś niewidomy głos szepce matce do ucha: „Oto twoja zbawczyni, oto duch opiekuńczy twojego syna.“ I jakieś rzewne przywiązanie ku Maryi budziło się wtedy w sercu hrabiny, a im więcej badała to uczucie, t m mniej znachodziła je różnem od owego, które miała w sercu dla syna.

Atoli żadna okoliczność zewnętrzna nie zdawała się popierać wątłej nadziei hrabiny. Owszem mimo ciągłych starań lekarza, mimo rozlicznych przypisywanych przezeń środków zaradczych, nie polepszał się w niczem nieszczęsny stan Artura. Zdawało się nawet, że wyraz jego oczu przybierał z każdym dniem charakter groźniejszy. Coraz widoczniej zacierały sie w jego spojrzeniu owa bolesna rezygnacya, owe smętne poddanie się losowi, któreśmy w niem z początku widzieli. Występował natomiast wyraz jakiejś rozpaczy, jakiejś szalonej prawie boleści. Tylko oziębłość ku Maryi nie zmieniła się w niczem, zawsze równie cierpka jak w pierwszych dniach jej przyjazdu. Toż zaczęła ona wkońcu razić boleśnie młodą dziewicę, bo widocznie jakoś zpoważniała i zposępniała. Uśmiech wesoły nie igrał już tak często na jej rozkosznych ustach, świeżą twarzyczkę okryła bladość woskowa, a oko i czoło omgliło sie jakiemś przykrem marzeniem. Miałażby ona kochać nieszcześliwego młodzieńca? Ktoż na to odpowiedzieć potrafi? W sercu kobiety zachodzi tak wązki przedział, tak nieznaczna granica między prostem współczuciem a prawdziwą miłością, że niepodobna oznaczyć porę, w której zaciera się owa linia

demarkacyjna, a zaledwie tlejące zarzewie w jasny wybucha płomień.

III. ODKRYCIE.

Minęły już trzy miesiące od przybycia pana Falka do dworu boryńskiego. Wszystkie główne osoby naszej powieści znajdują się razem w małym wytwornie umeblowanym saloniku hrabiny. Lekarz powrócił właśnie z dalekiej wycieczki, i opisuje wymownie podziwianą niedawno okolicę. Wszyscy zdawali się słuchać z uwagą, lecz wszyscy — niesłuchali bynajmniej.

Artur siedział w kącie salonu niemy i nieruchomy. Ręką jedną zakrywał czoło i oczy, drugą wspierał się na poręczach fotelu. Na przeciwko niemu siedziała hrabina, smutna i bolejąca jak zawsze. Oczy spuściła na dół, i nie śmiała podnieść ich w górę, lękając się ujrzeć konwulsyjne drganie ust Arturowych, jakie przed chwilą ją przestraszyło. A i Marya trzymała uporczywie oczy na dół spuszczone. Może lękała się spojrzeń ojca, może chciała ukryć smutek, przebijający się nazbyt jawnie w jej twarzy.

I sam też lekarz nie miał dziś swojej zwyczajnej fizyonomii. Spoglądał jakoś uroczyście to na hrabinę, to na Artura i córkę, i zdawał się umyślnie przeciągać opowiadanie, aby się tem lepiej wszystkim przypatrzyć.

„Zaręczam że nie widziałem piękniejszej okolicy“ — ciągnął z niezupełnie szczerem zajęciem. — „Żałuję tylko, żem dawniej nie zwrócił w tę stronę moich codziennych przechadzek.“

„W którążto stronę?“ — zapytała pani Drużewska.

„Poza górę zamkową ku klasztorowi“ — odparł lekarz, dokładnie obeznany z miejscowością.

„Ku klasztorowi“ — zagadnął żywo Artur, uderzając się w czoło, jakgdyby szukał jakiegoś wspomnienia, lub imał jakąś szczęśliwą myśl. — „A prawda prześliczna to okolica; zdala mury klasztoru na górze u krańców lasu, nieco opodal stary kościołek, a niżej wielkie sioło górskie rozłożone na kilkunastu osobnych wzgórkach. Szczęśliwi, którzy tam życie pędzą i umierają! Wiesz matko“ — rzekł żywo zwrócony do hrabiny — „powinnibyśmy zwiedzić to miejsce. Wszak to zaledwo trzy mile od Borynia.“

„I owszem mój synu“ — odrzekła pani Drużewska, uradowana niezwyczajną żywością syna. — „Możemy je zwiedzić zaraz nazajutrz, i wszyscy razem.“

„Dopiero jutro?“ — odparł Artur z rodzajem jakiejś nerwowej niecierpliwości — „wszak dopiero południe.“

Hrabina nic nie odpowiedziała, lecz pociągnęła za dzwonek tak gwałtownie, jakgdyby chciała wszystką dworską służbę przywołać naraz.

„Niech natychmiast zaprzegną do lekkiego powozu“ — rzekła spiesznie do wchodzącego lokaja. — „Pojedziemy do OO. Franciszkanów.“

„Dla p. Artura byłoby lepiej odbyć podróż tę konno“ — wtrącił lekarz.

Pani Drużewska rzuciła pytające spojrzenie na syna, a widząc nieme przyzwolenie w jego twarzy, wydała stosowny do tego rozkaz.

W trzy godzin poźniej było już całe towarzystwo u kresu swojej podróży. Klasztor leżał w samej rzeczy prześlicznie. Wszakże lubo widok na rozścielającą się dokoła okolicę był pełen powabu, same mury klasztorne wyglądały ponuro i posępnie. Zdawało się że cięży na nich jakaś grobowa pomroka, która mimowolnie przykazywała milczenie, i zniewalała do rozmyślania.

Podeszły w latach zakonnik wyszedł na powitanie gości, a kazawszy otworzyć fórtę, służył towarzystwu za przewodnika. Artur zdawał się przypatrywać wszystkiemu z szczególniejszą uwagą i niezwyczajnem zajęciem. Twarz jego była blada i spokojna, w oczach przebijała się niezwyczajna energia, w ruchach jakaś febryczna żywość i niecierpliwość.

Zmiana ta uderzyła zarówno hrabinę i lekarza. Jestto przywilejem serca macierzyńskiego najpierwej przeczuć niebezpieczeństwo, najpoźniej zrozpaczać o ratunku. Pani Drużewska zaczeła się mimowolnie czegoś obawiać, a im pilniej wpatrywała się w twarz Artura, tem więcej wzmagał się jej niepokoj.

Artur był widocznie w jakiemś niezwyczajnem usposobieniu, i zdawał się unikać umyślnie spojrzeń matki. Po zwidzeniu ogrodu klasztornego zażądał obaczyć bibliotekę. Uprzejmy zakonnik oświadczył się gotowym spełnić życzenie. Zostawiając tedy hrabinę i Maryę na ławeczce między kwiatami, udali się lekarz i Artur z przewodnikiem do środka.

Głośne za nimi skrzypnięcie drzwi korytarza pomnożyło jeszcze niepokój matki. Na próżno starała się uspokoić ją Marya, na próżno sama hrabina wystawiała sobie bezzasadność swojej obawy. Im więcej przedłużała się nieobecność syna, tem przykrzejsze miotały nią uczucia. Naraz rozwarły się znowu drzwi, a lekarz i Artur ukazali się w progu.

Lecz powierzchowność obudwóch nie była wcale zaspakajająca. Lekarz wyglądał strwożony i pomieszany, na twarzy zaś Artura przebijało się niezłomne jakieś postanowienie.

„Przychodzę pożegnać się z tobą droga matko;“ — rzekł głosem drżącym ze wzruszenia. — „Zostaję tu na zawsze.“

„Co mówisz?!“ — krzyknęła bledniejąc pani Drużewska.

„Obrzydło mi już walczyć z chorobą, która mię powoli niszczy i zabija. Niechcę dłużej sprzeciwiać się niezmiennemu wyrokowi, któren odziedziczyłem wraz z imieniem po ojcu i dziadach moich. Zamykam się w tych murach, i tu będę wyglądał spokojnego końca mych cierpień.“

„A ja-ż twoja matka! Coż ze mną! czegoż ja się doczekam?“

„A czegożto chcesz się doczekać?“ — przerwał syn gorzko. — „Chwili w której potrzeba będzie zamknąć mi powieki, okryć głowę całunem, rzucić garstkę ziemi na wieko mojej trumny? Nie rozstajesz się przecież z synem zdrowym, lecz z potępionym na śmierć, któremu każda chwila przyspiesza zgon nieochybny. Wszakże nie pozbawiam cię szczęścia, owszem uwalniam od ustawicznego niepokoju i cierpienia. Nie chcę abyś patrzyła na codzienne postępy morderczej choroby, którą odziedziczyłem z pierwszą kroplą krwi mojej, nie chcę, abyś z twarzy mojej wyczytywała coraz wyraźniejsze zbliżanie się śmierci.“

„Arturze! Arturze!“ — zawołała hrabina rozdzierającym głosem — „nie maszże ani iskierki czucia i litości dla tych, co cię kochają?“

„Dla tych co mię kochają?“ — odparł młodzian z nieopisanym wyrazem goryczy i boleści — „ach, od tychto właśnie uciekam, tych unikam, z tymi żegnam się na wieki. Czemże bowiem jestem dla nich ustawicznie? Ofiarą i katem zarazem! Oni mię dobijają swojem politowaniem, ja ich katuję moją rozpaczą, mojem cierpieniem. Oni mię obwiniają, ja nie mogę litować sie nad nimi.

Po tych słowach zwrócił się Artur żywo ku furcie klasztornej. Hrabina odchodziła prawie od zmysłów. Nie wiedząc sama co czyni, obróciła się nagle z błagalnem spojrzeniem ku Maryi, jakgdyby od niej spodziewała się ostatniej pomocy. Marya posunęła się o krok naprzód, i głosem drżącym z wzruszenia i nieśmiałości, rzekła do odchodzącego młodziana:

„I zacoż to panie Arturze chcesz nas zasmucać tak gorzko?“

Artur zadrżał na całem ciele, i stanął na chwilę jak wryty. Potem obrócił się nagle ku Maryi, i rzekł głosem prawie niezrozumiałym z wzruszenia:

„A więc dobrze, wracam kiedy pani tego żądasz.“

I przyskoczywszy spiesznie do stojącego w pobliżu konia, wsiadł i odjechał. Hrabina także kazała zajeżdżać natychmiast powozowi, chcąc jak najprędzej oddalić się z miejsca, które ją ciągle jeszcze śmiertelną nabawiało trwogą. Niebawem znajdowali się wszyscy w drodze do Borynia. Wszystkich ogarniało głębokie i gwałtowee wzruszenie. Krótka rozmowa Artura z Maryą odsłoniła jasno wzajemne ich uczucia. Była ona jawniejszą i delikatniejszą niż najgorętsze wyznanie miłości. Snać poznali i zrozumieli to wszyscy, gdyż po gwałtownem wzruszeniu początkowem jakieś głębokie zadumanie malowało się teraz na wszystkich twarzach. Lekarz siedział blady i milczący naprzeciw hrabiny, a tysiączne myśli snuły mu się po głowie. Z cierpką goryczą wyrzucał sobie ślepotę czuwania swego nad córką. Nie pojmował jakim sposobem mogła utaić się przed nim tak długo smutna rzeczywistość, której się tak wcześnie obawiać zaczął, a która dla spokoju i szczęścia jedynej córki jak najgorsze wróżyła następności. Rozgniewany na siebie, pełen żalu do Artura a nawet i do hrabiny, ważył się teraz z myślami jakby conajrychlej zaradzić złemu, i uleczyć Maryę z niebezpiecznej, a jak mu się zdawało głęboko już wkorzenionej skłonności. Skoro tylko stanęli napowrót w Boryniu i wysiedli z powozu, zbliżył się lekarz z poważnem spojrzeniem do hrabiny, i rzekł z cicha:

„Przychodzę prosić panią hrabinę o poświęcenie mi półgodzinnej rozmowy jutro zrana.“

Hrabina spojrzała bystro w oczy lekarza, potem rzuciła okiem na Maryę, i odgadłszy wszystko, rzekła również z powagą:

„Uprzedzasz pan moje życzenie.“ (D. n.)

CIĘŻAR ZIEMI.

Pewien starożytny uczony grecki żądał tylko punktu oparcia, aby podźwignąć ziemię, i wyrwać ją z odwiecznej kolei biegu. Nowoczesna umiejętność jest o wiele skromniejszą.

Dzisiejsi uczeni chcą tylko zważyć ziemię, chcą dowiedzieć się nieomylnie, jak też ciężką jest ta nasza gwiazdka w przestworze światów, ten lekki, błyszczący pyłek w gwieździstym płaszczu wszechstwórcy. Lecz zkądże weźmiemy potrzebną ku temu wagę, na którejby po jednej stronie można położyć ziemię całą, po drugiej zaś taką ilość cetnarów, funtów, łutów i granów, iżby obie szale w zupełnej stanęły równowadze? Czyż podobna zważyć kulę ziemską jak funt cukru albo łut pieprzu? Nie jeden z czytelników zaprzeczyłby temu stanowczo. A przecież ważono już ziemię kilkakrotnie. Ważył ją Anglik Cavendish w upłynionem stóleciu, ważyli dr. Maskelyne, Victsch i wielu innych, lecz żaden z nich nie zważył z nieomylną dokładnością. Udało się to dopiero za pomocą olbrzymiej pracy i heroicznej wytrwałości dzisiejszemu prezydentowi londyńskiego towarzystwa astronomicznego panu Bailly. Sposób zastępowania zwyczajnej wagi środkami umiejętności, to jest obliczeniami, wywodami i eksperymentami arytmetycznemi, matematycznemi i fizykalnemi, nie dałby się wyjaśnić dokładnie bez gruntownej znajomości nauk przyrodzonych, bez zawiłych rysunków, rozwlekłych formułek i t. p. Sprobujemy tedy dać o tem niejakie wyobrażenie innym sposobem.

Obok zwyczajnej, powszechnie znanej wagi, znajduje się jeszcze inny środek do zbadania cieżaru jakiegokolwiek ciała. Jestto tak zwana waga *porównawcza*. Wiesza się np. na nitce elastycznej funt ołowiu, i uważa się dokładnie, ile po niejakimś czasie rozciągnie czyli przydłuży się nitka. Potem wiesza się na takiejsamej nici inny przedmiot, a większe lub mniejsze rozciągnięcie nici daje nam wyobrażenie o jego ciężkości w porównaniu z funtem ołowianym.

Otoż waga, jaką ważono ziemię była to waga porównawcza, opierająca się na tysiącznych porównaniach, tysiącznych rachubach i tysiącznych względach najrozmaitszego rodzaju.

Od czasów Newtona jest cieżar niczem innem jak tylko siłą przyciągającą jedno ciało czyli jedną bryłę do drugiej. Siła ta staje się tem większą, im bliższa jest odległość między ciałem a ciałem. Klej, lep i kit służą tylko do zapełnienia odległości między pojedyńczemi cząstkami pewnego ciała, przezco cząstki te skupiają się w jedną całość, i jeden niejako tworzą przedmiot. Im więcej jest cząstek skupionych w jedno ciało, temwiększą posiada ono siłę attrakcyjną, temwiększy jest jego cieżar. Kula armatnia jest dlatego tak ciężką, iż zamyka w sobie wiele cząstek (atomów) jak najsilniej ściśnionych, a przyciąganych razem przez całą kulę ziemską. Jeśli więc powiesimy kulę armatnią w powietrzu, a inne jakieś ciało pomiędzy nią a ziemią, tedy ciało to będzie przyciągane z dwóch stron: na dół od ziemi, w górę od kuli. Rozumie się że przyciągająca siła ziemi będzie tysiące billionów razy większa niżli siła kuli. Owoż gdyby się udało wynaleźć środek zbadania stosunku między nieskończenie małą atrakcyą kuli a nieskończenie wielką atrakcyą ziemi, to już temsamem znalazłaby się waga dla ziemi.

Ale coż nam pomogą te objaśnienia, skoro nie znamy owego tajemniczego domu w Londynie, gdzie p. Bailly przesiedział długie lata i z szczelnie pozamykanych urn szklannych, z niedostrzegalnych okiem niteczek, z maleńkich kuleczek, z termometrów, barometrów, hygrometrów, wyczytywał za pomocą mikroskopów cuda po cudach, opisywał je od dnia do dnia, dodawał do nich codziennie jakieś tajemnicze liczby i znaki, aby po kilkunastu latach niezmordowanej pracy wystąpić przed światem z owocem studyów swoich, wymienić liczbę, którą najżywsza fantazya ogarnąć, najbystrzejszy umysł pojąć nie zdoła. A ileż to przezorności, ile uwagi i ostrożności, wymagała cała ta żmudna a długoletnia praca! Jedno tchnienie, jeden promyk światła, jedno niezręczne poruszenie, mogły nieraz udaremnić całoroczną pracę, mogły zachwiać dokładność całej rachuby. Pomimo to wyglądał główny instrument do ważenia ziemi jak zabawka dziecinna. Na nitce jedwabnej wisiała prostopadle długa cieńka laseczka drewniana, mająca po obudwóch stronach małe kule ołowiane, które zostawały zawsze w zupełnej równowadze. Wielka urna szklanna okrywała laseczkę, zostawiając po bokach dwa okrągłe otwory. Przez te otwory można było pod każdy koniec laseczki włożyć kiedykolwiek wielką kulę armatnią. Gdy takie kule spoczęły nagle po obu stronach laseczki, musiała ta ostatnia zachwiać się, bo attrakcyjna siła kul przyciągała ją do siebie. To drganie laseczki dzieje się na podstawie dawno znanych i dokładnie oznaczonych praw matematycznych. Przeciąg zaś czasu, przez który trwa owa wibracya laseczki, jest właściwym łokciem do zmierzenia attrakcyjnej siły ziemi.

Aby zaś ile możności dokładną i niezawodną otrzymać liczbę, starał się p. Bailly usunąć przy swoich eksperymentach wszystkie

widoczne wpływy zewnętrzne, wszystkie zaś możebne obliczyć jaknajdokładniej i wciągnąć w swoje rachuby. Przy tem wszystkiem nie używał on bynajmniej owych eksperymentów z wahadłem, jakie przed kilką laty w obec tysiąca widzów podejmowano w Panteonie paryskim. Pan Bailly pracował samotnie i tajemniczo. Rzadko tylko pozwolił któremu z najlepszych przyjaciół przestąpić na palcach próg tajemniczego pokoju, w którym stał powyżej opisany instrument. Wyrzekł się nawet światła, i pracował po ciemku, jakgdyby przez swoje szkła i teleskopy rozmawiał z duchami, lub próbował jakichciś czarów. „Gdy zbliżał się do swojej wagi“ — mówi jedno z pism angielskich — „zapierał w sobie oddech, poskramiał bicie pulsu, i zbliżał sie jak gdyby do ołtarza, z wyrazem obawy i uszanowania na twarzy.“ Tak pracował codziennie przez ośmnaście miesięcy, nim zaczął ważyć właściwie. Potem ważył w swojem ciemnem laboratorium nieprzerwanie przez cztery lata, a potem liczył i liczył wpisywane do swoich notatek cyfry, aż w końcu obliczył ciężar ziemi. Wszystek rezultat tej olbrzymiej pracy, ryczałtowa summa tej długoletniej rachuby, zmieściła się w jednym wierszu jego grubej księgi zapisków, zasianej od końca do końca cyframi. Stało tam tylko:

„D = 5·6747 z możebną pomyłką 0.038.“

Znaczy to D (*densatio*, miąższość) równa jest 5·6747, czyli ziemia jest stosunkowo pięć i pół razy tak ciężka jak woda, dwa razy tak ciężka jak powierzchnia najtwardszej skały, o połowę lżejsza jak ołów, dwa razy tak ciężka jak cyna, czyli jednem słowem ziemia nasza waży:

2.512.391.340.000.000.000.000.000 cetnarów.

Jestto mówiąc słowami: dwa kwadryliony, pięćset dwanaście tysięcy trzysta dziewięćdziesiat i jeden trylionów, trzysta czterdzieście tysięcy bilionow! Możebna pomyłka o 385 bilionów niknie w porównaniu z znaczeniem całej summy, podobnie jak jedna setna część granu w kubicznej stopie wody, ważącej $62^1/_2$ funta. Ciężar ziemi przedstawia tedy liczbe której żaden rozum ludzki nie zdoła objąć. Gdyby bowiem ktoś na sto lat przed narodzeniem Chrystusa zaczął był liczyć, i liczył ciągle a ciągle, nie jedząc, nie pijąc, nie oddechając, i liczył dniem i nocą przez wszystkie miesiące i lata i stólecia, aż do dnia dzisiejszego, nie naliczyłby jeszcze — biliona. A coż dopiero trylion? coż dwa kwadryliony? A wszystko to — cetnary! Ileż w tem funtów, łutów, granów, atomów! A mimo tego wszystkiego jest przecież ta cała kula, którą zowiemy ziemią, tylko niewidomie małą cząstką stworzenia!

Jelenie przybyszami w lasach polskich. Wacław Potocki w swoim *Poczcie herbów szlachty Korony Polskiej* zamieścił następującą tradycyę:

Siła rzeczy czas długi od potopu mieni,
Przed lat tysiącem w Polsce nie było jeleni.
Same tylko zające łowiono a sarny.
Aż któryś — jeszcze dziedzic znać — król gospodarny
(Bo dożywotny nie dba, wiedząc że kto inny
Osiędzie tron obrany, mimo jego syny)
Przyobiecał nagrodę, choćby chciał najdrożej,
Kto w Niepołomskiej puszczy jelenie zamnoży.
Piękna wraz być bogatym i polskim szlachcicem!
Tedy Ślązak, którego mieniono Brochwicem,
Wiodąc z sobą do Polski ogłaskaną łanią,
Cały zwierzyniec czyjsi przyprowadził za nią.
Że nie mogła robota jego być tąk skryta,
Osiadłszy w Polsce, nazad do Śląska nie pyta.
Jelenia w herbie przy wsi kilkunastu bierze.
Ztąd w herbach, ztąd w zwierzyńcach Polakom te (zwierze.

Nie znajdujemy tradycyi niniejszej ani w Niesieckiego *Koronie Polskiej*, ani w Kraszewskiego rozprawie o *Poezyi szlacheckiej* i *legendach herbowych*, Ciekawą zaś jest rzeczą, zestawić z nią inny, o wiele pewniejszy szczegół z opisów sławnej puszczy Białowieskiej. Przedstawia ona, jak wiadomo najautentyczniejszą próbkę pierwoczesnego stanu lasów i leśnej fauny kraju. Które zwierzęta mieszkały oddawna w jej obrebie te możnaby poczytać za niewątpliwie rodzime, naszym stronom; których przeciwnie nie dostrzeżono tam nigdy, tych zapewne i reszta kraju nie znała. Owoż czytamy w najlepszych opisach rzeczonej puszczy, iż zpomiędzy wszystkich drzew „jeden tylko modrzew nie znalazł sobie tam miejsca“, zpomiędzy wszystkich zaś zwierzów krajowych „jednego tylko jelenia nikt tam nie ujrzy.“ Miałażby ta szczególna okoliczność zostawać w związku w powyższą tradycyą Potockiego? Uczeni zoologowie nasi mogliby przysłużyć się bliższem w tej mierze objaśnieniem.

Osobliwość historyczna. Jestto szczególniejszem zjawiskiem w historyi królów francuskich, że ilekroć trzej bracia bezpośrednią po sobie następują koleją, zawsze po nich korona przechodzi w inną rodzinę. *Ludwik V Kłótnik*, *Filip V Długi* i *Karol IV Piękny*, byli sobie rodzonymi braćmi, i panowali jeden po drugim. Po nich przyszła na tron rodzina *Walezów*. Bracia *Franciszek II*, *Karol IX* i *Henryk III* byli ostatnimi królami z rodziny *Walezów*. Nastąpili po nich Burbonowie z *Henrykiem IV*. *Ludwik XVI*, *Ludwik XVIII* i *Karol X* byli sobie również rodzonymi braćmi, i również zakończyli szereg królów z swojej rodziny, ustępując miejsca *Orleanom*.

Chińskie zegarki. Sławny podróżnik francuski p. *La Huc*, który ostatniemi czasy zwiedził Tybet i całe państwo niebieskie, opowiada w swojem najnowszem dziele następującą anekdotę z życia prostych Chińczyków: „Pewnego dnia idąc w odwiedziny do nawróconej przez nas gminy chrześcijańskiej, spotkaliśmy na drodze młodego Chińczyka pasącego woły. Jeden z nas zapytał go, czy już południe?

Młodzian spojrzał na niebo, widząc je atoli okryte zewsząd chmurami, rzekł: „Nie mogę zobaczyć słońca, lecz zatrzymajcie się chwilkę.“ I pobiegł spiesznie do pobliskiej chaty wieśniaczej. Po krótkiej chwili powrócił z kotem na ramieniu. „Patrzcie“ — zawołał do nas, podnosząc kotowi powieki znad oczu, — „jeszcze nie ma południa“ Spojrzeliśmy zdziwieni na chłopca, który nie wyglądał wcale na żartownisia. Kot też zdawał się być całkiem oswojony z podobną operacyą; i zachowywał się przytem tak spokojnie i rozumnie, jakgdyby wskazywanie godzin było jego zwyczajnym i właściwym obowiązkiem. Podziękowaliśmy młodzianowi z uśmiechem, wstydząc się zażądać od niego bliższego wyjaśnienia. Lecz skoro śmy tylko przyszli do naszej gminy chrześciańskiej, zapytaliśmy przedwszystkiem, co miała oznaczać owa dziwna operacya z powiekami kociemi. Chińczycy zdziwili się nie mało naszą niewiadomością, i złapali zaraz kilkanaście kotów, aby nas przekonać, że zegary w ich oczach idą jaknajlepiej. Źrenica bowiem kocia zmniejsza się coraz znaczniej ku południowi, a w samo południe wygląda już jak cieniutki włosek. Od południa zaś zaczyna się powiększać na nowo, a o północy przybiera kształt wielkiej gałki okrągłej. Zapewniano nas przytem jednogłośnie, że każde dziecko chińskie nauczy się w krótkim czasie oznaczać tym sposobem każdą porę dnia jak najdokładniej. Jakoż przekonaliśmy się sami, że zegary w oczach kocich szły bardzo dobrze, i zgadzały się z sobą na włosek. Nie mniemamy jednakże, aby nowy ten rodzaj chronometrów i zegarów mógł kiedykolwiek stać się niebezpiecznym naszym zegarmistrzom europejskim.“

Najpierwsza książka kucharska w języku polskim. Przysłużył się nią szanownym prababkom naszym sekretarz króla Jana III Stanisław Czerniecki, autor wielokrotnie poźniej przedrukowanego dzieła pod napisem: „*Compendium Ferculorum, albo zebranie potraw ad usum publicum napisane. W Krakowie roku 1682*. Podamy kiedyś bliższą może wiadomość o tej szacownej księdze, traktującej w poważnem wydaniu *in 4to* gockim drukiem, o tysiącu przysmaczków owego wieku, a tymczasem przestajemy na dedykacyi, która opiewa dosłownie: „JO. na Ossolinie Xiężnie Jejmości Paniej Helenie Tekli Lubomirskiej Wojewodzinej Krakowskiej, Sandomirskiej, Zatorskiej, Lubaczowskiej, Ryckiej etc. Starościnie i t. d. Paniej i dobrodziejce swojej wielce mciwej. — Iż jeszcze dotąd naszym językiem polskim, tak potrzebnej rzeczy, żaden przedemną niechciał pokazać światu, odważyłem się Ja, abym pod protekcyą W. X. M. paniej mojej i dobrodziejki wielce mciwej przy nieudolności mojej, uczyniwszy *Compendium Ferculorum*, albo zebranie potraw, polskiemu prezentował światu. Animuje imprezę moję osobliwa przy milionach dobrodziejstw odebranych od W. X. M. paniej mojej i dobrodziejki wielce mciwej łaska, większego bowiem nie potrzebuje ta licha moja praca, ani mieć chce splendoru, jako kiedy od W. X. M. paniej mojej i dobrodziejki mojej wielce mciwej przyjętą będzie. wiedząc dobrze, że się W. X. M. w tem naturaliter kochać raczysz i z swoich ś. pamięci przodków. Świeżo pamiętna po dziś dzień w niemieckich i włoskich krajach, nigdy nieporównana i wielkiego podziwienia godna ś. p. Xiażęcia J. M. Jerzego na Ossoliuie, wielkiego kanclerza koronnego, a najmilszego rodzica W. X. M. do stolicy apostolskiej i namiestnika Chrystusowego Urbana VIII legacya, która wszystkiemu zachodniemu państwu, wielkiem będąc podziwieniem, ogłosiła w rozum nieprzebranego pana, jako i splendor dworu, niemniej i appartament stołu J. M., że xiążęta i panowie rzymscy uwiedzeni ciekawością na same tylko obfitych potraw dziwowisko przychodzili; a widząc więcej niż słyszeli, zdumiawszy się odchodzili. Szczodrobliwości także nad wszystkiemi potrzebami do ukontentowania każdego napatrzyć się nie mogli, tak dalece, że jeden z xiążąt rzymskich rzekł: „Dziś Rzym szczęśliwy mając takiego posła, który swoją bytnością wszystko państwo rzymskie ozdobił. Najduje się tenże heroiczny animusz w W. X. M. paniej mojej i dobrodziejki wielce mciwej, którego nie jest moje wyliczać intentum. To tylko namienię, że W. X. M. swoją pańską szczodrobliwością i dobrodziejstwy opatrować raczysz wiele świętych kościołów, potrzebnych obojej płci klasztorów, ubogich nie tylko po ulicach, ale prawie po wszystkich ratując szpitalach; co lepiej zamilczeć niż wyliczać, bo to samemu wiadomo panu Bogu. Dozór zaś i pilność ekonomiki, każdy przyznać musi, że W. X. M. jest przezorna i ostrożna. Więc że i ta licha moja praca ściąga się do ekonomiki, której w domu W. X. M paniej i dobrodziejki mojej wielce mciwej, przez lat trzydzieści i dwie doszedszy experyencyej, onę pod nogi W. X. M. paniej i dobrodziejki mojej wielce mciwej oddawam....“

Chów żółwi. W Hiszpanii pielęgnują i rozmnażają z szczególniejszem zamiłowaniem żółwie z krótkiemi ogonami, których mięso służy nie tylko za wykwintną i smakowitą potrawę, lecz oraz w wielu wypadkach ma być nadzwyczajnie skutecznem dla chorych na piersi. Doświadczenie nauczyło, że chów tych wielce pożytecznych zwierząt może przy starannem pielęgnowaniu powieść się także w krajach zimniejszego klimatu. We Francyi robiono już próby, które przewyższyły powszechne oczekiwania. Przytem nie nastręcza chów żółwi tyle trudu i zachodu, ileby się w pierwszej chwili zdawało. Niewielki obszar ziemi do czterdziestu sążni objętości, otacza się nizkim lecz mocnym murem, a napuściwszy żółwi do środka, zasiewa się małą część tego ogrodu łopuchem. Miejsce zasiane otacza się z początku ze wszystkich stron deskami, i dopiero za podrośnięciem łopuchu, zdejmuje się oparkanienie, aby żółwie mieli gdzie składać jaja, które w krótkim czasie wygrzywają się na słońcu. Co kilkanaście kroków potrzeba zakopać w ziemię wielkie naczynia gliniane, i napełniać je codziennie czystą i świeżą wodą. Najlepiej jest założyć tak wielką sadzawkę z wodą źródlaną, aby żółwie mogły także kąpać się w niej. W kącie ogrodu powinna stać szopa napełniona suchem liściem na zimowe legowisko dla zwierząt. W krajach zimniejszych potrzeba chronić szopę od zimna, bo żółwie nie wytrzymują dotkliwszych mrozów. Żółw rośnie dwa lata, a pod ten czas nie może być pożywany. Gdy zaś dorośnie, nie powinien się nazbyt zestarzeć.

Z literatury inseratowej. Pewien dziennik belgijski przynosi następujący szczególniejszy inserat: „Przysięgły kominiarz Ph. Van de Viele, zięć Piotra Henryka Evercard, mieszkający w Bruxelli pod liczbą 15, w drugiej części, przy ulicy Brygitek, pospiesza donieść, że przez lat 18 żywił swojego teścia, a nadto jeszcze zapłacił za niego 75 franków długu. Mniemając tedy, iż tak zacnym postępkiem zasłużył sobie na zaufanie szanownej publiczności, prosi o dalsze polecenia.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*